

Żołnierz–kapłan–prefekt. Ksiądz Wojciech Kowalik, 1893–1967, katecheta szkół średnich w Myślenicach. W stulecie urodzin, opr. S. Kowalik, Myślenice 1993, ss. 223.

O katechecie opowiadają byli jego uczniowie, ksiądz wspomina tylko na paru stronach swoje dzieciństwo, zaś ponad połowa książki, to pisana na bieżąco w notesie relacja maturzysty, który zamiast do seminarium, trafił na front. Ten pamiętnik Wojciecha Kowalika z I wojny światowej, to zarówno przejmujący opis żołnierskiego losu, jak i autoportret dojrzewającego w militarnych warunkach powołania kapłańskiego. Rozbudowany aż po dublowanie pojęć (kapłan–ksiądz, prefekt–katecheta) tytuł książki przesłonił ów najważniejszy tekst, którego walor góruje nad resztą i zasługuje na omówienie. Pomińmy tedy niejakie uprzywątlenie reguł edytorskich.

Pochodził z Bystrej, należącej do parafii Jordanów. W czerwcu 1914 r. ukończył VIII klasę IV gimnazjum w Krakowie. Chciał studiować teologię. Bezsukcesy czekał na uwalniające od wojska zawiadomienie o przyjęciu do seminarium (czemu nie wybrał się po nie do Krakowa?); 15 września stanął do poboru w Myślenicach. Rozstanie z najbliższymi odbyło się tak, jak to czyniono spontanicznie od pokoleń, gdy żegnano się na długo, a z niepokojem, czy nie na zawsze. Wojna lub morze, za którym była wymarzona przez emigrantów Ameryka, nie zawsze zwracały swoich wybrańców. „Zgromadziliśmy się wszyscy w izbie, uklękliśmy przed obrazami i wśród płaczu zaczęliśmy się modlić o opiekę Bożą nade mną [...] Wsiadłem na wóz. Długo oglądałem się poza siebie. Na tle domów i gór stała bezradna grupka osób. Znikło wszystko za chwilę” (s. 19). Sytuacja, jaką trzeba by w 1914 r. i następnych latach przemnożyć przez miliony ludzkich dramatów.

W Jordanowie wstąpił do kościoła. To była dla większości zmobilizowanych druga po domu stacja spontanicznego rytu przejścia. Od trwogi i niepewności, przynajmniej do przedśmionka otuchy i zadatku bezpieczeństwa. W niejednej kronice parafialnej napotkać moż-

na opisy przejmujących scen: płacz kobiet w obejściach i kościoły pełne spowiadających się mężczyzn¹. Po marszu w deszczu do Wadowic i podróży w zatłoczonym współtowarzyszami losu wagonie towarowym, rekrut znalazł się w Drahotuš na Morawach, gdzie zaczęło się szkolenie. Opisy zajęć i warunków zakwaterowania przeplatają wzmianki o lekturze *Filotei* czy *O naśladowaniu*, bywaniu na Mszy św., u spowiedzi, modlitwie. „Idąc na ćwiczenia odmawiałem jak zwykle rozmaite modlitwy, i, o ile hałaśliwe śpiewy rekrutów na to mi pozwalały, starałem się duszę swą przenieść przed Pana Jezusa utajonego w Najświętszym Sakramencie. Ja teraz właściwie powinienem znajdować się w Seminarium. Ale gdzie tam, człowieku. Bóg nie chciał, żebyś ty tam teraz był. On najlepiej wie, co robi. Jesteś wątpliwy, słaby, a więc Bóg chciał, żebyś przy wojsku zmężniał, nauczył się trochę samodzielności, zniósł cierpliwie rozmaite trudy, przykrości, zawody, a natomiast poddawał się w zupełności woli Bożej” (21 X 1914).

Nadzieja na zwolnienie na podstawie pism o przyjęciu do seminarium, które wreszcie nadeszło, to się pojawiała, to gasła. Z przygnębienia lub marzeń wyrывało czyjeś przekleństwo lub krzykliwa komenda. Wraz z kolegą, który też chciał być księdzem, próbują zaangażować w swą sprawę nawet dusze czyścowe, obiecując im w razie dostania się do seminarium codzienną (jednakże oprócz czwartków i niedziel) komunię. Szeregowy Kowalik uczestnicząc w ciężkiej mustrze i ćwicząc drugich tęskni jak dziecko za domem, a rodziców pociesza w liście: „jak mi Pan Bóg przeznaczył zostać księdzem, to choćby 10 takich wojen było jeszcze, to ja i tak księdzem zostanę, ale jak mi Pan Bóg nie przeznaczył, to ja bez jego woli nie zostanę, chociażby i wojny nie było”. Tym apelem do obecnego w ludowej kulturze religijnej połączenia zawierzenia z poczuciem nieuchronności pragnął rodzicieli uspokoić. Wiedząc o ich zatroska-

¹ Np. Sułkowice — spowiedź mobilizowanych w sobotnie popołudnie 1 sierpnia i prawie sami mężczyźni na porannej Mszy niedzielnej „a wszystko modliło się żarliwie, nie wiedząc czy wszyscy wrócą w ojczyste progi. Po prymarii, na drogach rozdzierające sceny płaczu i lamentu matek i żon, żegnających swoich synów i mężów. Fura za furą odwoziły powołanych na wojnę do stacji w Kalwarii”. Wiśniowa — „Na drugi dzień po ogłoszeniu mobilizacji, a było to w niedzielę 2 sierpnia b. r., już od wczesnego ranka gromadnie przystępowali mężczyźni, powołani do wojska, do spowiedzi i komunii św. Tak było przez kilka dni. Rozrzewniający był to widok, kiedy rano o czwartej zgłosili się do spowiedzi, kuferki wojskowe ustawili pod kościołem, a po spowiedzi i komunii św., posiliwszy się czemś na pręde pod kościołem, szli na kolej do Kasiny. Równocześnie z powołaniem mężczyzn zabrano do wojska wszystkie konie” (Kroniki tych parafii).

niu o niego, pisał słowa wielce dojrzałe: „A chociażbym i na wojnie zginął, to się prędzej dostanę tam, gdzie wszyscy pragniemy się dostać. A to trudno, jak cały świat teraz cierpi, żebym ja jeden w domu spokojnie siedział i nie cierpiał z innymi” (s. 34). To myślenie o doli innych proponował nie tylko najbliższym. Wcześniej zanotował: „Deszcz i zimno, więc wcześniej wróciliśmy do stodół, gdzie mieliśmy szkołę. Pokurczeni, zmarznięci, ledwośmy się ruszali. Ci biedacy w polu jeszcze więcej od nas niewygód cierpią. Boże, przyjmij te nasze trudy na większą twoją chwałę i pożytek dusz bliźnich” (s. 31).

Potrafił przyjąć uwagę kolegi, że jest nieznośny w upominaniu innych i zbyt nerwowy. Notuje niczym kleryk: „wskutek tego postanawiam sobie nie upominać nikogo, a w razie potrzeby czynić to delikatnie” (s. 35). Sodalicyjna formacja z gimnazjalnych czasów okazywała się mocna. Diariusz żołnierza—chrześcijanina ukazuje zmaganie się z poczuciem bezsensu i beznadziei w sytuacji istoty obrabianej brutalnie na potrzeby wojny. Wyraźnie widać tu przewycięzanie wewnętrznej dezintegracji przy pomocy wiary żywej, przejawiającej się nie tylko w formułach pacierza, i poprzez nadzieję wyrażającą się nie tylko w warunkowych obietnicach, składanych duszom czyścowym. Rozwojowy charakter formacji religijnej, wyniesionej z domu, parafii czy katechezy szkolnej, okazywał się w wysokim stopniu samodzielnej modlitwy, łączeniu jej z pracą nad charakterem, uczeniu się oceniania losowych sytuacji w świetle wiary i szukaniu sposobności do uczestniczenia we Mszy św. nie tylko wtedy, gdy udział w niej zarządzono dla całej kompanii.

Po 4 miesiącach szkolenia w Opawie, w maju 1915 r., Kowalik zostaje kapralem. Skierowany na front dodaje sobie odwagi: „Ciągła obawa i strach zahartują mnie i nabiorę więcej doświadczenia. Pociąg mija nocą rodzinne strony. Stacja Osielec. „Nie wolno wsiąść, trzeba jechać dalej. Dworzec, cmentarz, kościół, droga do Bystrej [...] Tam dalej za górą mój dom rodzinny [...], zapewne śpią, nic nie wiedzą”. Wkrótce pojawiają się okrutne ślady wojny. „Po drodze, poczawszy od Limanowej, widzieliśmy rozsiane tu i ówdzie białe, drewniane krzyże”, ruiny domów, „rowy strzeleckie, w których nasi bronili się całą zimę”. Od Jasła rozpoczął się forsowny marsz w naznaczone zniszczeniami okolice Jarosławia. W Hruszowicach front był tuż. Idący przez las żołnierze modlili się cicho. W uroczystość Serca PJ ksiądz odprawia Mszę w okopach. „Wszyscy się wychylili ze swych nor”, pozdejmowali czapki i nie widząc kapłana „każdy przeniósł

się duchem do ubogiego ołtarzyka [...] Nie było słyszeć muzyki kościelnej, którą zastępował huk granatów i świst szrapneli, raz po raz przelatujących nad nami". Jest i opis własnej spowiedzi w tych warunkach: przywołany kapelan wchodzi do okopu. „Uklękliśmy obydwaj, jednak głowy musieliśmy ku sobie nagiąć, bo wysokość ziemianki nie pozwalała na wygodną pozycję” (s. 48–54, 63).

Śmierć uderzała tuż. Człowiek „przed chwilą chodził, myślał, a teraz stoi przed majestatem Bożym”. Pada kolega – „przynieśli go żołnierze w celcie. Rozpięta bluza i koszula, dostał kulą w samo serce”. Znowu świeży grób, marsz pod ostrzałem, okopywanie się. Stada wron nad pobojuwiskami. Nocą luny palonych przez Rosjan wsi, by wrogom dostał się tylko popiół. W świecie wzajemnego zabijania odzywało się przeciw człowieczeństwo. „Po bitwie bardzo się zbudowałem, gdy zobaczyłem naszego komendanta kompanii, jak zdjąwszy czapkę modlił się”. Dwa dni później. „Po drodze spotkałem rannego Moskala, który ledwie się włókł. Podeszedłem do niego, a on cichym głosem poprosił o wodę. Dałem mu trochę wina i sera. Było mi bardzo przyjemnie, że mogłem pomóc żołnierzowi w nieszczęściu”. Zwyczajnie napisane! O tym, co nie zwykle, choć w tej wojnie się zdarzało. Podczas świąt wielkanocnych 1916 r. „Moskale nie strzelali, przychodzili do naszych okopów”. Potem znowu zaczynała się okrutna gra, w której każdy chciał być myśliwym, by nie stać się zwierzyną. „Poorana okopami ziemia kryje w sobie tysiące istot ludzkich, gotowych w każdej chwili rzucić się na siebie i mordować się wzajemnie, choć jeden drugiemu nic a nic nie zawinił” (s. 53–57, 62, 70).

Tyfus, leczenie, urlop odsunęły na parę miesięcy frontowy koszmar, umożliwiając parokrotne odwiedziny rodziców i rodzeństwa (młodszy brat i siostra). W lutym 1916 r. trzeba było wracać na wojnę, na odcinek koło Buczacza. Wśród relacji o działaniach militarnych wykwitają znowu wzmianki o żołnierskiej religijności. „Wcześniej rano kazano nam obsadzić linie. Moskale idą naprzód, karabiny maszynowe w robocie, atak złamany. Artyleria wali, aż się ziemia trzęsie. Skulony siedziałem przy trawersie. Co chwilę obok mnie eksplodowały granaty, ale co robić. Bóg czuwał nad nami. Wczoraj wieczorem poszedłem do mojego plutonu i wspólnie odmówiliśmy litanie do Serca PJ, bo to przecież czerwiec. Ładnie to wyglądało. Żołnierze pozdejmowali czapki i przy wtórze armat chórem odpowiadali – zmiłuj się nad nami” (s. 70).

Po 10 miesiącach w polu i ogniu – kurs obsługi granatników, urlop, dom, odwiedzanie znajomych. Luty 1917 r. – znowu w swojej

kompanii – w okopach, wypadach, odwrotach. Sceny, jak u Dantego. „Prawie ludzie wybierali się do służby, gdy wpadł szrapnel. Huk, wrzask, kilku poszarpanych wyrzuciło na pole przez otwarte drzwi. Inni z nogami lub rękami poobrywanymi jeszcze żyli. Tych kazałem odwieźć do Hilfsplatz, aby się mogli jeszcze przed śmiercią wypowiedzieć”. Zmasakrowany sierżant prosi o doobicie. W okopach „ludzie pomarznięci, głodni, bo raz na dzień coś ciepłego dostają, obtargani, wyniszczeni, zdenerwowani z ciągłej obawy przed artylerią. Nic dziwnego, że to wszystko zbierając, traci się poczucie człowieczeństwa do tego stopnia, że – to wcale nie należy do rzadkości – gdy granat zmasakruje kilku, a innych zrani, to zamiast spieszyć z pomocą rannemu, rzucają się na plecaki ofiar i rekwirują konserwy, chleb”... (s. 83–84).

Ludzie rzucający się śmierci na pożarcie trzymali się swej wiary, wracali do niej, porzucali ją. Ranny żołnierz, spotkany jeszcze na Morawach, mówi: „Bardzo się człowiek zmienia, gdy jest w ciągłym niebezpieczeństwie utraty życia. Byłem niewierzący, nie modliłem się, ale nauczyłem się modlić w polu”. Kiedy indziej, z lejtnantem „zaczęliśmy rozmawiać o religii, wierze, ale okazało się, że on nie wierzy – przynajmniej tak mówił – i że Boga, piekła i nieba nie ma. Ja znowu wierzę, odpowiedziałem, i dobrze mi z tym, nic nie straciłem. Czuję, że mam silne oparcie we wszystkich trudnościach. Zresztą, inaczej się mówi, gdy się czuje bezpiecznie, ale gdy granaty świszczą nad głową, wtedy każdy jakoś do tego Boga się udaje” (s. 30, 92).

Pod Triestem, bo i tam znalazł się wiosną kadet z Bystrej, było spokojniej – „ani Włosi, ani nasi nie strzelają do siebie i nie przeskadzają sobie w pracy wokół okopów i w służbie”. Ale po powrocie z urlopu zastał własną jednostkę zdziętkowaną przez wroga.

Przeniesiony w listopadzie 1917 r. do Krakowa uzyskał zgodę biskupa Sapięhy na zaliczenie I roku teologii po zdaniu egzaminów. Lecząc się w szpitalu w Suchej czytał więc dogmatykę i prowadził światopoglądowe dyskusje z innymi oficerami, którzy mieli wiele pretensji do księży, religii w ogóle i samego Pana Boga (wolna wola, przeznaczenie) także. Kandydat na kapłana uznał, iż „rozmówcy moi Boga uznają, tylko nie takiego, jakim Go Kościół przedstawia [...] Jednakże wcale mnie to nie przestrasza, niech sobie mają jakie chcą pojęcia, ja jednakże pozostaję przy swoich”. Wysłuchawszy opowieści o skandalach wśród duchowieństwa zanotował, iż historie te „mnie jednakowoż nie zrażają, przeciwnie, chcę zostać kapłanem, ale różnym od innych, w duchu Chrystusowym” (s. 98, 108, 111). Źródłem krytycznych postaw wobec Kościoła, jego doktryny i wymagań,

upatrywał w zaślepieniu, ale „trochę i księży winni”². Przyznawał jednak rację jednemu ze znajomych kapłanów, „że mi się to później przyda. Poznam ducha świata, więc będę umiał zastosować odpowiednie środki” (s. 115).

Rekonwalescencja zastała w rodzinnych stronach niepodległość. Nie był już austriackim oficerem. I wtedy, po 4 latach wojennej poniewierki i marzeń o teologii, zawahał się. „Namyślałem się długo, co zrobić: czy się zgłosić do wojska polskiego, do czego wzywano wszystkich, czy wstąpić do Seminarium. Jednakże postanowiłem zgłosić się do wojska, do kadry do Kielc. Dostałem marszrutę i wyjechałem z domu 19 XI 1918 r.” Stwierdził jednak, „że oficerowie legionišci z góry się na nas patrzą, ignorują nas. Te i tym podobne stosunki zniechęciły mnie zupełnie. Postanowiłem wstąpić do Seminarium” (s. 127)³.

Niezbadane jest zaiste ludzkie serce, a łaska Pańska różnymi chadza drogami! Nawet wyniosłością legionisty i upokorzeniem c. k. kombatanta posłużyć się potrafi. „Przychodzę do księdza rektora 20 XI w mundurze i z szablą u boku, a ten się pyta: Już na stałe? — Owszem, odpowiadam, gdy mnie tylko ksiądz rektor przyjmie. I zostałem”.

² Mimo kontaktów z wielu księżmi i swoich planów życiowych, nie był bezkrytyczny: „Dowiaduję się, że ks. katecheta z Suchej zabrania chodzić na tańce, obiecuje policję sprowadzić, aby to rozpedziła. Puszy się tylko księżyna, gdyż w tej chwili jedna i druga panienka myśli, że zabawa to coś złego. Chodzi, myśli że źle robi, później zaczyna się uważać za wielką grzesznicę i wszystko jej jedno. Tak samo ma się rzecz z zakazami chodzenia pannom z mężczyznami. Tym się nic dobrego nie uczyni. Wskazać raczej, kiedy to jest złe, a kiedy nie. Nie trzeba z ludzi robić dziwolągów, zabijać życia, tylko zło odwracać, przeszkadzać rozwijaniu się jego. Wychowanie jest rzeczą trudną” (s. 120).

³ Pewne cechy charakterologiczne, zauważalne w pamiętniku i, mimo ilościściowej idealizacji, także w relacjach wychowanków, znalazły swój wyraz w opinii wystawionej ks. W. Kowalikowi w 1926 r., po czterech latach pierwszego wikariatu, przez ks. Michała Kołodzieja, proboszcza z Suchej: Pracował bez zarzutu, „do szkoły uczęszczał pilnie. Do pracy oświatowej i społecznej nie zdradzał ochoty. Może z powodu słabego zdrowia, unikał wszystkiego, co wymaga większego wysiłku i pewnej ofiary z wygodnego i spokojnego życia. Mając łagodne usposobienie, bardziej kobiece niż męskie, padł nie raz ofiarą wycisku. Wrażliwy na opinię ludzką nie chciał się nikomu narazić, może nie raz ze szkodą dla dobrej sprawy. Pozostawił po sobie pamięć dobrego kapłana”. — Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie, Pers 395.